

Maciej Sztengiel

Moje szkolne łobuziakowanie

Przegląd Pruszkowski nr spec., 112-119

2014

Artykuł został opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych oraz w kolekcji mazowieckich czasopism regionalnych mazowsze.hist.pl.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

MACIEJ SZTENGIEL

Matura 1954

MOJE SZKOLNE ŁOBUZIAKOWANIE

Mieszkałem w owym czasie w Pruszkowie przy ul. Chopina 8 b w domu, jak mówiono, Sommera i Nowera, który powstał z inicjatywy pana W. Szymańskiego, szefa pruszkowskiej Fabryki Ultramariny, a dziadka Olka Ellerta. [Fabryka i dom – to własność Nowera – I.H.] Dom był nowoczesny, trzypiętrowy z dwoma klatkami schodowymi i osobnymi bramami wjazdowymi. W mojej części na trzecim piętrze usadowili się ludzie o brzmiących z niemiecka nazwiskach: M. Sztengiel, Alfred Nehring, H. Schuster, co miało wpływ na zasiedlenie budynku przez wojska okupacyjne, bo zostaliśmy najpóźniej wysiedleni. A skoro wspomniałem o okupacji, to pamiętam, że na drugim piętrze sąsiedniej klatki, której mieszkańcy zostali wcześniej ewakuowani wprowadził się niemiecki komendant Pruszkowa Maryniuck. Ten wyjątkowo okrutny człowiek stojąc na balkonie strzelał z floweru między dzieci bawiące się po drugiej stronie ulicy. Ta jego zbrodnicza „zabawa” nie trwała długo, po kilku dniach został zastrzelony na ulicy Kraszewskiego przez żołnierzy AK.

W czasie pogodnych wrześniowych dni 1939 roku ojciec mój z ojcami moich kolegów przygotowywali w ogrodzie naprzeciw domu okopy, mające chronić mieszkańców przed atakami niemieckich samolotów. Dla nas Andrzeja Kurnickiego i mnie, młodych wtedy chłopców, były one świetnym terenem do zabawy w berka.

W okresie zwanym „po wyzwoleniu” mieszkańcy zaczęli wracać do swoich mieszkań często wdając się w utarczki z szabrownikami i życie dalekie od normalności nabierało charakteru

codzienności. Na parterze odnalazł się Jurek Własenko doskonały brydżysta i szachista, na pierwszym piętrze 8a zamieszkał Olek Ellert z dziadkami i rodzicami.

Trzeba było ukończyć szkołę powszechną, trafiłem do „Kościszki”, wtedy jeszcze im. T. Kościuszki, potem nazwano ją TPD. Chyba tam, kończąc podstawówkę, poznałem Staśka Magierowskiego, ale za „chyba” nie gwarantuję. Tłucze się w pamięci mało elegancki incydent końcowych lat mojego pobytu w tej szkole – kiedy nauczycielka języka polskiego nie mogła promować kolegi, cała klasa prosiła, żeby dała mu jeszcze szansę. Pani polonistka zgodziła się i postawiła warunek : „masz powiedzieć proste zdanie oznajmujące”... zapadła cisza i po długiej chwili nieszczęśnik wypalił – „koń znosi jajka” – natychmiast uzupełniłem – „ale tylko kiedy schodzi po schodach”. On wygrał, a ja musiałem przyprowadzić matkę.

Czas, szybko biegnąc, wkręcił mnie w tryby zanowskiej maszyny. W szkole wymagano systematycznego uczestnictwa w zajęciach, zaliczania nauczanych przedmiotów. Z domu do szkoły na ulicę Klonową (tak przed wojną nazywała się ulica, przy której mieściło się Liceum Zana, po wojnie przemianowano ją na ul. Daszyńskiego, nie lubiliśmy tej nazwy) najprostszą była dla mnie droga przez parkan, przerzucałem teczkę na drugą stronę i dwoma skokami byłem na podwórku Gradkowskiego – tego, co miał lodziarnię na rogu ulicy Chopina. Było to dla mnie ważne, bo pozwalało mi na dojscie do Szkoły razem ze sprężyście maszerującą Reńką B., sympatyczną, bardzo zgrabną sportsmenką, która podobała mi się, darzyłem ją sympatią. Zdążyliśmy na poranny apel. To pomysł dyrektora Gilewicza – ustawiona w szeregach młodzież całej Szkoły przy wciąganiu flagi na maszt śpiewała hymn młodzieży socjalistycznej „nie zna granic i kordonów pieśni zew” (przekorne echo odpowiadało: „pies mi zdechł”).

Na początku lat pięćdziesiątych dyrektorem Zana został pan Gilewicz, człowiek niewielkiego wzrostu i takim został w mojej

pamięci. Nauczając Wiedzy o Polsce i Świecie Współczesnym z trudem przekraczał odległe mu pogranicza pedagogiki, miał za to łatwość odczuwania piękna zaczarowanego w postaciach naszych koleżanek. Był dobrym organizatorem (np. poranne apele), wprowadzał wiele posunięć związanych z funkcjonowaniem Szkoły, niektóre nawet dobrze jej służyły.

Miałem jeszcze szczęście spotkać wspaniałą kadrę prawdziwych pedagogów. Wspomniałem „jeszcze”, bo fala współczesności odpychała ich od nauczania. Moi nauczyciele byli dla mnie autorytetami, a ich rady często w dorosłym życiu były mi przyjaźnie pomocne. Ale zamiarem mojej wędrówki w „zanowski” czas młodości nie było kreślenie wielkości potencjału intelektualnego Szkoły, bo to w sposób absolutny wykazali jej absolwenci na przestrzeni prawie stu lat istnienia tej placówki, lecz pokazanie takiego łobuziackiego spacerowania po edukacyjnych grudach.

Worek wspomnień o dowcipach, których dzisiaj powinienem się wstydzić... jednak.

Woźnym, a raczej gospodarzem dbającym o szkolny sprzęt był pan Stanisław Gać i miał, jak on to nazywał „kantor naprawczy”, czyli pomieszczenie do naprawy łamanych przez nas krzeseł i ławek, które mieściło się na parterze, w części męskiego WC. W owym czasie nie było w Szkole dzwonka elektrycznego mobilizującego szkolne życie, pan Stanisław miał tylko sprawny zegar i duży mosiężny dzwonek, którym oznajmiał początek, albo koniec lekcji. Kiedyś tam zaszedłem prosząc pana Stasia o gwoździak, rzekomo potrzebny do oczyszczenia mojej nierozłącznej piłki. Dobraliśmy odpowiedni rozmiar, a ja wychodząc włożyłem gwoździak w szaberek zamykając woźnego w kantorku, co spowodowało bardzo długą przerwę, bo nie było słyhać dzwonka. Po latach spotkałem pana Stasia, był wtedy listonoszem, gwoździaka nie mógł mi darować.

Nauczaniem rysunku zajmował się pan prof. Wacław Prusak – mistrz kreski i spokoju, a jednocześnie obiekt naszych głupawych

i mało dowcipnych żartów. Kiedyś profesor przyniósł bardzo piękne, kolorowe jabłko, zaznaczył że z własnego sadu i polecił abyśmy próbowali je narysować. Kiedy profesor pochylony nad naszymi nieudolnościami poprawiając bliczki, ktoś ugryzł to jabłuszko. Gdy profesor to zobaczył z uśmiechem powiedział, że model jest własnością nadgryzacza. Do stałych dowcipów należało odpinanie roweru profesora i po przestawieniu kierownicy „na wyścigówkę” popisy jazdy po korytarzu szkolnym. Głupie to i mało dowcipne, a profesor z pobłażliwym uśmiechem przywracał rowerowi jego pierwotną formę opowiadając, że na tym pojeździe przejechał drogę równą odległości księżycy od ziemi, a teraz jest w drodze powrotnej na naszą planetę.

Matematykę wykładał prof. Paprocki, zwany przez uczniów „Żarówą” – pedant, który systematycznie chciał nauczyć nas myślenia matematycznego. Kiedy przychodził czas sprawdzianów dzielił klasę na pół i rozsadał uczniów co drugą ławkę, aby uniemożliwić ściąganie. Nie należałem do mocnych matematyków, liczyłem więc na pomoc koleżeńską. Profesor siadał na krześle ustawionym na katedrze i sokolim okiem ogarniał klasę. Rysiek Woźniak zwany „Szczurem” był dobrym matematykiem i kiedy rozwiązał zadanie umieścił ściągę wewnątrz długopisu, a ja na jego znak wstawałem z ławki zgłaszając awarię pisaka i prośbę o pożyczanie długopisu. Do pomocy koledze zgłosił się „Szczur”, a profesor zeskoczył ze swojej twierdzy i sam ten długopis mi podał. Reszta była łatwa, trzeba było zrobić jakiś mały błąd w przepisywanych zadaniach, bo przecież jako kiepski matematyk nie mogłem napisać sprawdzianu na piątkę.

Pani profesor Ostrowska to wybitny i wymagający nauczyciel języka polskiego, przez 50 lat pracowała w Zanie. Nauczyła posługiwania się językiem ojczystym kilka pokoleń, w tym także znanych pisarzy, literackich notabli. Była zafascynowana epoką romantyzmu, Adam Mickiewicz był Jej idolem. Lektury prowadziła w formie ciekawego wykładu, często przytaczała jakieś literackie anegdoty

utrzymując niesforną klasę w należytej dyscyplinie. Na koniec lekcji zadawała pracę domową, której szkic omawiała. Nie zawsze odrabiałem domowe wypracowania. Kiedyś wyrwany do odpowiedzi czytałem z pustego zeszytu. Udało się, zostałem średnio oceniony, ale gdy polonistka zajrzała do zeszytu, by poprawić błędy ortograficzne, które zawsze popełniałem i zobaczyłem Jej zdziwioną twarz byłem pewny, że będzie ocena niedostateczna... jednak nie dostałem dwójki. Na ustnym egzaminie zawsze było pytanie z gramatyki, co było naszą zmorą. Dostałem do rozbioru gramatycznego i logicznego zdanie „Wpłynąłem na suchego przestwór oceanu, wóz nurza się w zieloność i jak łódka brodzi...”, powiedziałem, że to „Stepy Akermzańskie” i egzamin maturalny był zdany. Działo się to w czasie ostrego stalinizmu, Katowice nazwano Stalinogrodem, nasilał się sowiecki terror. Uczniowie byli różni. W naszej klasie znalazła się pulchna, niezbyt zgrabna Zosia W. zawsze ubrana w zieloną koszulę i czerwony krawat z wpiętym znaczkiem Z.M.P. Popisywała się „władzą” wynikającą z wysokich funkcji, jakie dzierżyła w związku. Na lekcji polskiego zwracała się do Pani prof. Ostrowskiej „towarzystwo profesorko”. Utkwiła mi w pamięci reakcja naszej polonistki: znieruchomiała twarz i delikatne drżenie palców rąk zdradzały, jak głęboko została upokorzona.

W kolejnym roku wychowawcą moim został pan prof. Bohdan Zieliński zwany w Szkole „Kozłem”. Był to człowiek wszechstronnie wykształcony, urokliwy gawędziarz z dużym poczuciem humoru o wielkiej kulturze osobistej. Do Zana trafił w 1935 roku, w czasie okupacji zorganizował Tajne Kompletty przygotowujące młodzież do matury, a po wyzwoleniu uczył geografii. W programowe realia wplatał opowiadki o własnych przygodach podczas podróży po świecie. Był wychowawcą, który dyscyplinę zastąpił, jak sam to nazywał, „budowaniem moralnej dorosłości” posługując się samooceną wychowanków. Dla mnie był autorytetem, człowiekiem, któremu mogłem zaufać. Kiedyś, idąc do Szkoły spotkałem Jurka „Rupę”, który szukał czwartego do brydża. Poszedłem do

wychowawcy niejako zwolnić się na wagary i uzyskałem zgodę pod warunkiem, że nie będę palić (zaczynałem wtedy lubić papierosy). Gdy zdarzyło się, że profesor zachorował, dzwonił do pani Ewy, szkolnej sekretarki i prosił, aby wyjęła z pokoju nauczycielskiego kartkówki z geografii, które ja potem przynosiłem do Jego domu. Profesor leżał na otomanie jak zwykle elegancki z muszką związaną pod szyją. Czytałem głośno te teksty, nazwiska ich autorów i musiałem wyrazić swój sąd o każdej pracy. Na koniec geograf wpisywał własną ocenę i stawiał parafkę. Podczas tych spotkań Pani Profesorowa częstowała kompotem i domowym ciastem, robiła się sympatyczna, domowa atmosfera. Byłem bardzo dumny z tego posłannictwa. Takie niekonwencjonalne metody dydaktyczne stosował mój ulubiony profesor. Kiedy dyrektor Szkoły wręczał uroczystie Świadectwa Maturalne, najpierw pobiegłem ucisnąć rękę mojemu wychowawcy dziękując za to, co dla mnie zrobił.

Po przeciwnej stronie ulicy, przy której stał budynek Zana miał swoją piekarnie pan Darko, nazwisko to, czytane od prawej do lewej strony brzmiało „okrad”, co bawiło uczniów. Jego wyroby cukiernicze nie były najsmaczniejsze, ale miały atut bliskości. Często wpadaliśmy tam z kolegami pytając się „czy są czerstwe bułki”? Jeśli były, to polecaliśmy zmniejszenie ilości wypieków. Czasami na piekarnianych murach pojawiały się pisane dużymi literami rozwiązania klasówkowych zadań matematycznych, które „pomagały” słabszym uczniom. Dotyczyło to kartkówek prof. Paprockiego. Z matematyką u prof. Baciowej było inaczej. Na klasówkę wchodził pod ostatnią ławkę dobry matematyk z innej klasy kolega Maciej M. i przykryty płaszczykami przesyłał ściągę.

Prof. Kazimierz Zieliński był chemikiem (przypadkowa zbieżność nazwisk z naszym geografem), animatorem sportu, dynamiczny, pełen wigoru, zawsze z doskonałym kontaktem. Organizował turnieje ping-ponga, w których sam brał udział zajmując wysokie lokaty wśród dobrze grających uczniów. Szczególnie atrakcyjne były Jego pojedynki z „Kitajem” – Kazikiem Kawałkowskim,

absolwentem naszej Szkoły. Profesor był też dobrym szachistą, organizował i grał w turniejach, uczył i zachęcał do gry w szachy. Moje sportowe zainteresowania dotyczyły również szachów. Mobilizowany przez profesora „Kazika” grałem w turniejach z różnymi rezultatami. Rozgrywki odbywały się w sali ZZK, było to jedyne miejsce w Pruszkowie, w którym zadomowił się klub szachowy „Kolejarz”. Spotykaliśmy się tam przez wiele lat, żeby spędzać wieczory na przedstawianiu figur po 64 polach szachownicy. Profesor Zieliński sędziował mecze koszykówki, w których drużyna Zana często wygrywała rozgrywki międzyszkolne. Później dobrze grającą drużynę przejął trener z prawdziwego zdarzenia Paweł Wiśniowski i po wielu zmianach organizacyjnych wyniósł ją na wyżyny klubowych rozgrywek. Pięknie to opisał „Supeł” – Jurek Kwasiborski w monografii o pruszkowskiej koszykównie.

W końcowych latach mego pobytu w Liceum Zana zajęcia wychowania fizycznego i PO, czyli przysposobienia obronnego (nazwa większa niż przedmiot) prowadził nauczyciel, którego nazwiska nie pamiętam, ale zapadła mi w pamięć Jego surowa twarz, gdy wydawał komendy w tonacji wojskowej. Czasem prowadził nas na strzelnicę ucząc strzelania z karabinka sportowego. Na sprawdzianie liczył punkty przestrelone w tarczy i każdy miał swoją tarczę, w której powinny być trzy przestreliny. Po każdym strzale dziury w tarczy były zaklejane specjalnie przygotowanymi papierkami. Były one umieszczane w pudełku pod wolną tarczą. Kiedyś, gdy chciałem zdobyć jak najwięcej punktów, złośliwy boczny wiatr sprawił, że przestrelilem pudełko z zalepiaczami. Oczywiście strzelania nie zaliczyłem, a nauczyciel chciał mi obniżyć stopień z zachowania uznając pudełkowy strzał za złośliwą niesubordynację.

Fizyki uczył prof. Ciesielski, wykłady były prowadzone przystępnie, „nie tylko dla orłów”, ale wymagał, były częste klasówki. Przed kolejną udało mi się wcisnąć pod katedrę głośnik radiowy, połączony ze szkolnym studium radiowym, do którego miałem klucze. Kiedy został podany temat klasówki z głośnika popłynęła

stara, chyba przedwojenna melodia „gdzie twoje serce..”. Klasówka przepadła, a profesor okazał się człowiekiem z dużym poczuciem humoru, bo całą lekcję przegadaliśmy.

Kiedyś, będąc już w maturalnej klasie, szedłem ulicą w rozpiętej jesionce. Po drugiej stronie, w przeciwnym kierunku szedł prof. Gierwatowski i przywołał mnie skinieniem ręki. Usłyszałem, że to nieelegancko chodzić po ulicy w rozpiętym płaszczu. Zastanawiam się, czy w dzisiejszych czasach jakiś nauczyciel postąpiłby podobnie? Miałem dużo szczęścia trafiając do dobrej Szkoły, mając takich nauczycieli.